Nr. 24. We Lwowie dnia 13. czerwca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



Rękopis artykułu niżej przytoczonego sekcja Moniuszkowska Warszawskiego Tow. Muzycznego udzieliła redakcji Tygodnika Ilustrowanego — za którym go powtarzamy — dla upamiętnienia 25-cio letniej rocznicy zgonu wieszcza-muzyka.

Autor artykułu, artysta teatrów warszawskich i literat, a nadto autor libretta do kilku dzieł muzycznych Moniuszki, jako to: *Verbum nobile, Strasznego dworu, Parji i Beaty* — należał do najszczerszych przyjaciół wielkiego muzyka, a „zbliżony z nim — jak sam powiada — wzajemnym pociągiem uczuć i kilkakrotną pracą, zmuszającą do codziennego widywania się“ — miał sposobność poznać go nietylko jako pieśniarza. To też z serdecznem ciepłem skreślone jego słowa stanowią cenny przyczynek do historji duszy Moniuszki, — duszy wielkiej, skromnej, czystej, — i budzą dla człowieka szacunek i miłość niemniej szczere od uwielbienia, które mistrz tonów nieśmiertelną zdobył sobie pieśnią.

* * *

Stanisław, jedyny syn Czesława Moniuszki i jego małżonki Elżbiety z Madżarskich, pochodzącej z rodziny węgierskiej, ujrzał światło boże słońca we wsi Ubiel, położonej w malowniczych okolicach miasteczka Śmiłowicze w gubernji Mińskiej, d. 5. maja 1818 r.

„Nie należałem ja wcale do dzieci, zwanych cudownemi, — mówi sam o sobie, — lecz od najmłodszych lat czułem nieprzeparty pociąg do muzyki, w którym się też bardzo wcześnie objawiało moje powołanie.

„Obdarzony od natury bystrym i delikatnym słuchem, zaledwiem zaczynał chodzić, już zatrzymywałem w pamięci niemal każdą nutę słyszanych piosnek i dziecięcym głosem powtarzałem je z łatwością.

„Matka moja, szczerze zamiłowana w muzyce, grała na klawikordzie, a częściej towarzyszyła sobie na tym intrumencie do pieśni, które z wielkiem uczuciem lubiła śpiewać wieczornemi godzinami.

„Ona też najpierwsza dostrzegła we mnie tę połyskującą iskierkę zdolności i, jak tylko palce moje nabrały cokolwiek siły, sama zaczęła mię uczyć początków ukochanej sztuki. Nigdy nie zapomnę, z jak anielską cierpliwością mozoliła się nad układaniem mojej drobnej rączyny do klawikordu. Kilkoletniemu chłopięciu gammy niekonieczuie smakowały, rwałem

się do wygrywania ze słuchu śpiewek, do których lewą ręką dobierałem sobie, jak mogłem, akordów, lecz trudna rada! dom nie zaczyna się budować od dachu, trzeba było przechodzić początki, uczyć się wartości nut, ślęcząc nad gamami i wprawami biegłości.

„Nieoceniona moja nauczycielka miała jednak skuteczny sposób zachęcenia mię do cierpliwości. Co prawda, nie przekupowała mię ani piernikiem, ani pierogiem, ani karmelkiem, lecz skoro przyrzekła, że po skończonej lekcji zaśpiewa mi piosenkę, byłem potulny, jak owieczka, i z wielką troskliwością uważałem, aby przekładać w gammach właściwe palce.

„Rozumie się, że natychmiast po lekcji domagałem się dotrzymania obietnicy. Matka z uśmiechem na ustach, słodyczą i miłością w spojrzeniu, siadała do klawikordu i najczęściej powtarzała który ze śpiewów Niemcewicza, poczem moje dziecięce natręctwo napierało się drugiego i trzeciego.. Trudno mi wypowiedzieć, z jakiem ją słuchałem upodobaniem!...“

Ojciec Stanisława, obywatel i żołnierz dawnej daty, z początku może o innej przyszłości marzył dla syna; lecz widząc tak wyraźnie objawiające się zamiłowanie do sztuki i, na szczęście, będąc wolnym od uprzedzeń, dozwolił prowadzić jedynaka drogą, którą samo przeznaczenie zdawało się wskazywać. Położył tylko za warunek, aby muzyka nie przeszkadzała w niczem ogólnemu wykształceniu, i gotów był nieść ofiarę z całego swego mienia, byle wystarczyć potrzebom najtroskliwszego wychowania ukochanego dziecka.

Cicho i błogo płynęło życie w starym dworku Ubieli. Mały Stanisław, od wszystkich ukochany, oczko w głowie rodziców, pieszczota domowników, podrastał rzeźko i zdrowo. Lekcje przy guwernerze, nauka muzyki z matką, zajmowały mu połowę dnia. W chwilach swobodnych wybiegał do ogrodu, wymykał się na pola, złocistym falujące kłosem, słuchał z zachwytem szumu litewskich borów, śpiewu ptasząt, szemrania wód rodzinnej ustroni, albo ochoczej pieśni żniwiarzy przy dźwięku sierpów. A wszystko to rozmarzało młody umysł, rozpromieniało poetyczną z natury wyobraźnię, wzniecało w piersi niepojętą tęsknotę i często rozrzewniało do łez, których przyczyny nie mógł zrozumieć jeszcze.

Z największą jednak chciwością lubił się przysłuchiwać kmiecym chórom, rozlegającym się w wieczornej ciszy, w niedzielę, lub w dni dorocznych uroczystości wiejskich. Wtedy już nic nie zdołało zatrzymać go w domu: chłopczyna wyrywał się bodaj przebojem, byle być bliżej wioskowych śpiewaków i rozkoszować się ich nieuczonemi, a przecież harmonijnemi, owianemi dziwnym urokiem melodjami.

W długie wieczory zimowe, kilku zażyłych przyjaciół, ludzi starego autoramentu, nawiedzało jego rodziców. Ojciec Stanisława, zasiadłszy z nimi przed płonącym na kominku ogniem, lubił gwarzyć o dawnych czasach, żołnierskich trudach, przywoływać wspomnienia młodości. Starzy wąsacze wtórowali, każdy miał coś i o sobie i o swoich powiedzieć, a w kąciku komnaty mały marzyciel, z głową

Krzywą drożyną.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Cały potok baśni, legend i tak zwanych „historji prawdziwych, z ust wiarogodnych słyszanych“ — uderzył w dziwaczno-strasznej amalgamie do podbudzonej jej pamięci. I oto poczęło się jej zdawać, że w starem oknie kaplicy, które wśród drzew prześwieca, ukazać się musi w tej chwili jakiś profil żółtawy i blady o wielkich oczach, dziwnie płonących, z uśmiechem sarkastycznym na ustach. To znów, iż nagle rozleje się dokoła chłód lodowaty i czyjaś ręka „troskliwa“ płaszczem ją pocznie otulać! Więc też, drżąc z trwogi, w tył się obraca, aby przynajmniej spotkać oko w oko... tego strasznego kogoś. To znów, że pod nogami jej zacznie się ruszać i pękać mogiła Tereski — i wnet ukaże się ona — tylko nie w bieli na jakiemś ciele promienistem, nie taka, jak w jej „komedji“, ale w wilgotnym łachmanie na kościach nagich, z pozostałym tylko warkoczem jej czarnym.

I wszyscy „oni“ cisną się do wytężonej chorobliwie jej wyobraźni, pełni ironji, dziko złośliwi w pogardzie swej nad strachem nędznej istoty tej żyjącej.

Odchodzi prawie od przytomności, w skroniach jej tętni, a krew do mózgu uderza jakimś szerokim płomieniem. I zdaje się jej w tej chwili, że jest bezbronnem dzieckiem, które przemocą wywleczono z cichego, ciepłego łóżeczka, aby rzucić strachom na pastwę, na igraszkę. Drętwieje cała i tak się staje bezwładną, że uciec nie miała by już mocy, gdyby nawet nie przyszli ci ludzie oczekiwani. W oczach jej robi się ciemno, a potem nagle zaczyna coś majaczyć i wyrastać... To jakaś mglista procesja z kaplicy występuje...

Ostatnie rozpaczliwe spojrzenie rzuca na drogę — i oto świeże, chłodne powietrze wpada zbawczym potokiem do piersi jej zdławionej, przemywa ćmiące się oczy, a krew osuwa się z głowy na dół, niby jakaś paląca obręcz inkwizycyjna. Wraca jej oddech i przytomność zarazem. Serce uderza równiej i rozlewa się w niem jednocześnie jakaś ogromna radość uratowanej ofiary...

wspartą na ręku, z oczyma wlepionemi w ożywione oblicze ojca, zdawał się każde słowo pochłaniać, zdawał się widzieć przed sobą wskrzeszone obrazy przeszłości, które długo w noc nie dozwalały mu zasnąć i jeszcze w snach stawały przed oczyma.

Na takiem tle smętnej a uroczej zagrody wiejskiej, żywota patrjarchalnego rodziców, wśród uśmiechających się powabem obrazów przyrody, wschodził poranek życia naszego mistrza tonów. Wrażenia pierwszych dni młodości głęboko wryły się w duszę i przeważnie wpłynęły na przyszłe jego utwory, rzucając na nie ten zachwycający odblask tęsknoty i przenikając je uczuciem niewysłowionej rzewności.

* * *

Ale nauka matki nie na długo starczyła; trzeba było dla niego bieglejszego przewodnika: jakoż przy schyłku 1827 roku, Stanisław przeszedł pod gruntowną naukę Augusta Frejera, którego szczerze ukochał i przy którym obok gry na fortepjanie, miał sposobność obeznania się z wyższymi wzorami sztuki.

Jednocześnie złożył egzamin do drugiej klasy b. szkoły narodowej, gdzie się odznaczał pilnością w naukach i niepospolitemi zdolnościami.

Wróciwszy w 1830 r. do Mińska, kształcił się dalej w muzyce pod kierunkiem Dominika Stefanowicza, który, widząc coraz wybitniej rysującą się przyszłość ucznia, zajął się nim z prawdziwie ojcowską pieczołowitością. Szkolne nauki, od czwartej klasy, pobierał i ukończył w gimnazjum mińskiem.

Tak przygotowany, w ośmnastym roku życia udał się do Berlina. A nie bez smutku opuszczał rodzinne strony... pierwsza miłość, jedyna rywalka ukochanej przez niego sztuki, zakołotała w młodzieńczej piersi... Przedmiotem tej miłości była kilkunastoletnia dzieweczka, panna Aleksandra Miller, której na tak długi czas nie chciał utracić z oczu, bez poprzedniego przyrzeczenia wiernej pamięci, wytrwania w podzielanych wzajemnie uczuciach.

W Berlinie pracował trzy lata nad teorją sztuki, pod umiejętnym kierunkiem znanego w świecie muzykalnym Rungenhagena, dyrektora akademji śpiewu.

Z tej to podobno epoki, z chwil tęsknoty jego pierwszej i dozgonnej miłości, wypłynęły melodje do kilku balad Mickiewicza.

„Z jakąż niecierpliwością, — mówił Moniuszko — z jakiem utęsknieniem powracałem do kraju! Zdawało mi się, że nie doczekam kresu tej nieznośnie długiej podróży! — Nareszcie usłyszałem rodzinną mowę, odetchnąłem szeroko powietrzem naszych błoń i po przebyciu granicy, postanowiłem w pierwszym kościele podziękować Bogu, że mnie szczęśliwie prowadził.

„Był to właśnie poranek dnia świątecznego; zatrzymałem woźnicę przed najbliższym kościołkiem, zeskoczyłem gorączkowo z bryczki i w mgnieniu oka znalazłem się na chórze.

„Czemże wyrazić moją wdzięczność niebu, jeśli nie tem, co najusilniej drgało w mej

---

Ujrzała wreszcie tych „żywych“ ludzi, idących ku niej po drodze. Więc nie jest już samotną wpośród umarłych, sama napół już umarła, napół już do nich należąca. Życie jej wraca wobec żywych! Żywa z żywymi! Wskrzeszona i znowu mocna przez życie i dla życia! Porywa ją nawet w tej chwili jakaś chęć szalona rzucić się do nich, rozmówić się, rozśmiać— i wrócić od zmory tej śmiertelnej do tego życia, upragnionego nade wszystko...

Lecz znowu niby ktoś chwyta, ściska ją za rękę — i staje w miejscu, jak wryta, niby na czyjeś władcze skinienie... I znowu porywa ją nagle to znane drgnienie potężne. Znowu uczuwa jakiś prąd niezwalczony, ten potok jakby nie swojej, namiętnej, łzawej litości dla zmękanego drobiazgu. Czuje, jak płomień świętej zemsty, świętego gniewu macierzyńskiego, bucha w jej piersi wzburzonej. I oto dusza „tamtej“ spływa w jej ciało bezwładne i własną jej duszę wygania. Wstępuje w nią dusza Tereski, wyziera z mściwych, płomiennych źrenic czarnych anioła śmierci gniewnego! I oto w światłokręgu promieni księżycowych wyrasta nagle postać jej piękna, złowroga i nieziemska, a z ust rozbrzmiewa przeciągły jęk żałośny i rozpaczliwy.

— Och... Och... Och!... Przeklęci bądźcie! przeklęci! Bóg pomści główki sieroce, aniołki biedne moje! Biada wam! biada! biada!

Na drodze rozlega się przeraźliwy, urwany krzyk ludzki — i jedno ciężkie ciało o twardy grunt uderza, drugie w kamienny słup się zamienia...

* * *

Już dniało, gdy Wojciech przetarł bezsenne, znużone oczy i szybko podniósł się z ławy.

Kobieta jego od czasu, jak nieprzytomną przywlókł do chaty, siedziała skulona na ziemi.

— Idę na plebanję — ozwał się chłop cicho — dać na mszę... za duszę...

Nagle brwi jego zbiegły się groźnie.

— A ty mi... rozumiesz?!

Wskazał ręką na brudną kołyskę.

Janina Baudouin de Courtenay.

piersi: mową tonów, muzyką, którą, zdawało mi się, że wyspowiadam moje uczucia jaśniej, serdeczniej, niż słowami...

„Organista siedział już na swojej ławeczce przed małemi, zapewne oddawna niekorygowanemi organkami, i z wielką powagą wygniatał z nich pierwszą przygrywkę do mszy świątecznej.

— „Pozwól, bracie, niech cię wyręczę — rzekłem do niego — i nie czekając odpowiedzi, ani zważając na jego głupowato zdziwioną, niedowierzającą minę, odsunąłem mu od klawiszy ręce i siadłszy obok, uderzyłem kilka akordów.

„Wtedy dopiero organista odskoczył, ustępując miejsca i głębokim ukłonem aprobując we mnie wyręczyciela.

„Lichy organek niekoniecznie szedł w parze z moją gorączką. Pragnąłem wydobyć z niego wszystko, co wrzało w duszy, i jak gdyby popisać się wobec Boga, żem nie zmarnował tylu lat pracy i nie zagasił w sobie świętej iskierki natchnienia.

„Po skończonem nabożeństwie zszedłem na dół; chciałem odjechać, ale kościelny dziadek zastąpił mi drogę.

— „To pan grał na organach? — zapytał, przyglądając mi się ciekawie.

— „Tak jest — odpowiedziałem.

— „Ksiądz dobrodziej prosi do siebie.

„Pobiegłem do zakrystji, pewny, że w słowach pochwały i podzięki znajdę zaraz na wstępie do kraju błogosławieństwo na dalszą drogę artystycznego żywota.

— „Aha! — odezwał się ksiądz — to jegomość przygrywałeś nam dzisiaj do świętej ofiary?

„Skłoniłem się z pokorą, całując księdza w ramię.

— „A skądżeś to wasze przywiózł taką niemiecką muzykę? ja zaledwiem posłyszał, natychmiast zmiarkowałem, że to coś zagranicznego“.

„Te słowa, jak gdyby mię zimną oblały wodą. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć... grałem podczas mszy świętej kilka własnych utworów; zdawało mi się, że są pełne prostoty i religijnej powagi, tymczasem wrażenie, jakie uczyniły na księdzu, który, jak przekonałem się z dalszej rozmowy, nietylko że pojmował muzykę, ale i sam był muzykalny, dało mi wiele do myślenia...

„Ten z pozoru drobny wypadek stał się potężnym dla mnie bodźcem do troskliwego zwrócenia się ku muzyce kościelnej... Uczułem, że inaczej traktować ją wypada...“

Niechaj ci, którzy spiszą wszystkie prace Moniuszki i ocenią je według słusznej wartości, wyliczą, ile od owych czasów skomponował kościelnej muzyki, ile prawdziwych arcydzieł w tym rodzaju wysnuł z natchnionej piersi.

Po powrocie do kraju, osiadł w Wilnie razem z dozgonną swoją towarzyszką, Aleksandrą z Millerów.

„Tu, (jak się pięknie wyraża o nim Aloizy Kuczyński), przez piętnaście lat pracując na chleb powszedni w spokojności i szczęściu domowego pożycia, otoczony szczerą miłością współziomków, ożywiał świat muzykalny, przygarniając do siebie wszystkie jego żywioły.

„Tu dojrzała jego dusza, poczuła rozkosz w tworzeniu; polały się iskrzące piosnki, by promienie jutrzenki, budząc ze snu do życia, roniąc wszędzie światło i dźwięki. Nastała cisza, chwila modlitwy; ku otwartym niebiosom wznosiły się uroczyste hymny i ozwały się uwielbieniem dla Przedwiecznego Stwórcy i Boga-Rodzicy. Świętość uczucia przejęła namaszczeniem duszę artysty i wskazała jego przyszłe przeznaczenie“.

Pieśni Moniuszki, nęcące głębokiem uczuciem, świeżością pomysłów i prostotą melodji, rozbiegły się daleko. Chwytano je z zapałem, śpiewano wszędzie. One też w połączeniu z niezmordowaną jego czynnością rozbudziły w Wilnie gorętsze zamiłowanie muzyki. Mamy przed sobą szereg afiszów, zapowiadających koncerty w tem mieście, już to dawane przez samego Moniuszkę przy współudziale amatorów stale kształcących się pod jego kierunkiem, już też przez innych artystów, którym Moniuszko radą i współudziałem zawsze chętną niósł pomoc.

(Dok. nast.). *Jan Chęciński.*

Religja, filozofja i socjologja

we wzajemnym stosunku do siebie.

(Dokończenie).

W trafnych wyrazach skreślił to Rivazol, który, w 1788 r., będąc najmocniej przekonany, że filozofja może zapewnić wyższą od religji moralność, przyszedł do innych wniosków podczas wielkiej rewolucji francuskiej. „Moralność bez religji — powiada on — jest to sprawiedliwość bez sądów. Moralność może tylko doradzać; prawo może dawać tylko opiekę i karać; sama tylko religja przekonywa, nagradza, karze i przebacza. Filozofja przytem, jeśli ma istotnie zasługiwać na tę nazwę, wymaga już

znacznego zasobu wiedzy i wprawionego do naukowej krytyki umysłu. Ani dzieci, ani nawet większa część ludzi dorosłych, cały swój czas poświęcających praktycznej pracy swego zawodu, nie mają ani usposobienia, ani dostatecznego przygotowania do badań filozoficznych. Co najwięcej mogą oni przyjmować n a w i a r ę wyniki tych badań. Czemże jednak jest w podobny sposób nauczana filozofja, jeżeli nie dogmatyką religijną swego rodzaju?!

Jakkolwiek strona dogmatyczna nie jest najważniejszą w religji, to jednak jest ona niezbędną. Doprowadza ona uczucia i myśli do zgodności z sobą, daje uczuciom więcej określoną postać, a umysłowi punkt oparcia się: pierwsze ogólne pojęcia o świecie, pierwszy światopogląd. W przebiegu dziejów ludzkości spostrzegamy, że kiedy istniejąca religja upada pod ciosami krytyki lub prześladowania, a inna o wyższym poziomie moralnym i umysłowym nie zajęła jej miejsca, to następuje zdziczenie obyczajów i szerzenie się przesądów, czyli upadek moralności i światopoglądu na niższe szczeble cywilizacyjne. Kiedy w świecie starożytnym wyniki filozofji greckiej, upowszechniwszy się, zachwiały dawną wiarę w grecko-rzymskiem społeczeństwie, umysły zaczęły się poddawać nowym wierzeniom, które przynoszono ze wschodu, a które czerpano w tajemnicach religji egipskiej i w wierze żydów. Klasy oświecone u narodów katolickich są mniej religijne, jak w protestanckich, ponieważ dogmatyka religijna u tych ostatnich jest bardziej metafizyczną, w mniejszej pozostaje przeto sprzeczności z nowoczesnemi poglądami naukowemi *). Edgar Quinet w swojem studjum o rewolucji francuskiej, spotrzegając, jak potężnie wstrzymywał opór religijny powodzenie i postępy onej, przyszedł do tego przekonania, że niemożna gruntownie zmienić układu politycznego i społecznego, zanim nie nastąpi poprzednio odpowiednia zmiana w samej religji.

Schopenhauer przedstawił obrazowo sprzeczność dzisiejszej dogmatyki religijnej z filozofją, mówiąc, że religja i filozofja są jakby dwie szale tej samej wagi: kiedy jedna się opuszcza, druga podnosi. Czyż jednak tak być powinno? Czyż uczymy się w latach dziecinnych religji po to, ażeby nam ona następnie stawiała przeszkody w myśleniu, ażeby trzeba ją było wykorzeniać dla zasiewu innych, zgodniejszych z nauką przekonań? Wreszcie, czyż historja religji nie świadczy, że odbywała się w nich ewolucja, zbliżająca je zawsze ku ostatecznym rezultatom, przez wiedzę zdobywanym? „Religje — jakto już nauczał Henryk Saint-Simon — nigdy nie były i nie mogły być czem innem, jeno zmaterjalizowanemi systemami filozoficznemi“. Od wiary w nieustanne mieszanie się bóstw i duchów we wszystkie zjawiska całego świata, ludzkość doszła wreszcie do wiary w jednego Boga, który, stworzywszy i urządziwszy świat, pozostawił go, jak zegarek nakręcony, własnemu biegowi. Sama teologja chrześcijańska ulegała nieustannej ewolucji i to, co dawniej miało znaczenie rzeczywistości, obecnie tłómaczy się tylko, jako symbol, pod którym ukrywa się pewne ogólne pojęcie. Wreszcie ta pochopność, jaką wykształceńsze umysły w zachodniej Europie okazywały i okazują ku budyzmowi, pochodzi stąd, że łatwiej daje się on pogodzić z dzisiejszemi filozoficznemi wynikami, aniżeli nawet unitaryzm, z chrześcijanizmu wyłoniony.

Saint-Simoniści ważne więc byli podjęli zadanie doprowadzenia ewolucji religijnej do tego szczebla, na którym nie pozostaje ona w zatargu z wiedzą, ale uznawszy za właściwą swą dziedzinę życie uczuciowe człowieka, w dziedzinie umysłowej, rozumowej przyznaje wiedzy przewodnictwo i biorąc najogólniejsze jej wyniki, które już przeszły przez ogień krzyżowy krytyki naukowej, podaje ogółowi, jako dogmaty wiary. Taka religja umocniłaby w ludzkości wiarę, przyczyniłaby się potężnie do wyrabiania dzielnych i silnych charakterów, nie stawiałaby przeszkód zwycięskiemu pochodowi nauki i miałaby wszelkie warunki pozostania prawdziwie katolicką, tj. powszechną wiarą. Jak może być właściwie jedna tylko filozofja, tak i religij — w tem rozumieniu jak powyżej przedstawiłem — nie może być kilku. Naturalny stosunek religji do filozofji jest taki, jakim jest stosunek moralności do wiedzy, do oświaty.

Taką jedyną filozofją może być tylko filozofja pozytywna, która, będąc najwyższem uogólnieniem wiedzy, uznaje za jedyne sposoby poznania: spostrzeżenie, doświadczenie, porównanie i opierające się na nich rozumowanie. Ostateczne ukształtowanie się tej filozofji mogło się odbyć dopiero po pojawieniu się socjologji, jako samodzielnej nauki, uogólniającej i obejmującej w jedną całość wszystkie nagromadzone wiadomości o życiu społecznem ludzi w rozmaitych onego przejawach i stopniach. Było to naturalnym i koniecznym wypadkiem, albowiem filozofja pozytywna mogła objąć w swem badaniu całość świata zjawiskowego, dopiero po usunięcia interwencji teologicznej i istności metaficznych z ostatniej dziedziny, w której one najdłużej panowały, z dziedziny historji społeczeństw ludzkich, — a znowu socjologja mogła z konkretnych społecznych nauk wyłonić się wówczas, kiedy ustaliło się przekonanie, że w zjawiskach społecznych panuje także pewna określona prawidłowość, którą poznać zdołamy, po dokładnem tylko zbadaniu faktów społecznych we wzajemnym do siebie

*) Patrz dziełko Laveley'a: De l'eavenir des peuples catholiques. Paris 1875.

i do świata otaczającego stosunku. Pozytywny filozoficzny pogląd jak wiadomo — stara się każde zjawisko, które w swej złożoności trudniejszem jest do objęcia przez umysł, sprowadzić do zakresu prostszych (mniej złożonych) i więcej zbadanych zjawisk. Idąc tą drogą, Herbert Spencer z wielką siłą dowodzenia rozwinął tę nader ważną myśl, że rozwój społeczny jest tylko pewną stroną, pewną odmianą, pewną częścią, pewną komplikacją ogólnego rozwoju całości świata zjawiskowego, i to stanowi niewątpliwie najważniejszy jego przyczynek filozoficzny.

Oczewista rzecz, że filozofja, nadając kierunek myśli przy badaniu zjawisk społecznych i łączeniu onych w jedną całość, nie może nie wywierać wpływu na socjologję. I zasługa filozofów ze względu na wiedzę społeczną jest ogromna. Pierwsi filozofowie greccy, Plato i Arystoteles, dali początek naukowemu badaniu zjawisk społecznych. Spinoza, wykazując, że indywidualna dzielność człowieka wzmagała się przez tworzenie społeczeństw, i że społeczeństwo zapewnia największe korzyści jednostce, połączył w samowiedzy naukowej interes indywidualny człowieka ze społecznym. Kant jeszcze w 1784 r. nakreślił zarys filozofji historji, pochwytując trafnie uogólnienia ważne dla dynamiki społecznej. Saint-Simon i Krause w Niemczech zjawiska społeczne zespolili ze wszystkiemi innemi zjawiskami. Wreszcie dwaj nowożytni filozofowie, August Comte i Herbert Spencer, najwięcej przyczynili się do wyodrębnienia i ukształtowania socjologji.

Bolesław Limanowski.

Jubileusz chemji w Polsce.

P. Br. Znatowicz we „Wszechświecie" przypomina, że w roku bieżącym sto lat upływa od chwili, w której Jędrzej Śniadecki rozpoczął w Wilnie wykład chemji według nowej wówczas teorji Lavoisiera. Autor podnosi tę okoliczność, że może, dzięki zniesieniu starej Akademji krakowskiej przez rząd rakuski, Śniadecki miał możność, bez żadnych przeszkód ze strony wyznawców dawnej teorji flogistonu, rozpowszechniać w jedynej wówczas wyższej szkole polskiej wykłady chemji według nowych zasad. Dzięki jemu, nie pozostaliśmy w tyle za innymi, ale, przeciwnie, „znaleźliśmy się między najpierwszymi, którzy chemji uczyć się zaczęli w jej nowej postaci".

Dalej p. Zn. zatrzymuje się na drugiej zasłudze naszego uczonego, a mianowicie na tem, że Śniadecki pierwszy stworzył polską terminologję chemiczną. Wobec więc licznych prób późniejszych, nie zawsze szczęśliwych, autor artykułu proponuje chemikom polskim, aby na uczczenie jubileuszu przejrzeli wszystkie istniejące dotychczas terminologje chemiczne polskie, w celu zgodzenia się na jedną wspólną dla wszystkich, po polsku piszących lub mówiących o chemji. „To — mówi autor — będzie najtrwalsze i najpiękniejsze uczczenie setnej rocznicy nowej chemji w Polsce".

Módlmy się Panu!

z „Pieśni z otchłani", pisanych w więzieniu 1846
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.

Módlmy się Panu! — Kornemi głowy
Ścielmy się duszą na ziemię w pył!
Módlmy się, aby wieniec cierniowy,
Co się około skroni nam zwił,
Aby był kiedyś wieńcem zbawienia!
Aby zeń płomień nowego chrztu
Błysnął dla ludów — jak w dniach natchnienia
Mojżesz go widział w płomiennym krzu!

Módlmy się Panu! aby z kąpieli
Płomiennych ogni, cierni i mąk
Tej nowożytnej głos ewanielji,
Omdlałe ręce ku czynom sprzągł;
Aby się wzniosły od krwawej roli,
Od chat zgorzałych i nędznych trzód!
I zamiast trudom gnuśnej niewoli
Ugięli karki pod czynów trud!

Módlmy się Panu! — Lata pokuty
Poszły do liczby ubiegłych lat,
Kłębek ciemności światłem rozsnuty —
Wznoszą się serca z grodów i chat,
Już biją tętna tej krwi narodu,
I stoją męże, jak gęsty las —
Zginęły drogi męczeństw zawodu —
Słowo się stało — i kierz już zgasł.

Módlmy się! bo nim plemiona
Zbiegły się z łanów i gnuśnych leż,
Nim w serca wpadły nasiona,
To się do szczętu wypalił kierz,
A wiatr popioły rozniósł śród łanu —
Owo nim dojdzie aż do dwu mórz
Głos z piersi naszej... Módlmy się Panu!
Śmiercią ojczyźnie służymy już.

PRZED ŚWITEM.

(Ludwik Szczepański: Srebrne noce. Lunatica. Z kartą tytułową H. Rauchingera. Nakładem F. Bondego w Wiedniu i G. Centnerszwera w Warszawie. 1897. 8-o str. 78).

Nowy zbiorek wierszy. Sceptyk uśmiechnie się w duszy, przeczytawszy tytuł „Lunatica“ i zobaczywszy na oryginalnej karcie tytułowej zamieszkałego w Wiedniu artysty-malarza p. Rauchingera: parę rąk ludzkich, widocznie lunatyka, z tęsknotą wyciągniętych na szarem tle pomroku nocnego do bladego księżyca. Wszystkie upiory Nordaua, jakie pokutowały w ostatnim czasie po fejletonach poczytnych dzienników, szpalerem staną przed jego oczyma i już przez ciekawość samą, żali nie znajdzie w książce „trójhymnu duchów smętnych“ sceptyk zacznie wertować ją kartka za kartką. Ale, niestety! Gorycz rozczarowania osłodzi mu chyba to jedno, że wbrew oczekiwaniom nie przeraził go ogrom kontrastu; że nieznalazłszy w tej książce symptomów „zwyrodnienia“, nie znalazł w niej też wyrazu życia odmłodzonego. Myśli tych wierszy nie nowe, uczucia bez żarów wulkanu, ale te myśli, uczucia, ujęte w formy misterne— oddech kwiatów wiośnianych pod nieba gwiaździstym błękitem; kwiaty co wiosna te same, a zawsze urok ich świeży.

Kwiatu pełnego świeżością i urokiem odznaczają się wiersze „Srebrnych nocy“. Przyznaję im to, chociaż bez względu na ich wartość poetycką, zachwycić się niemi nie mogę. Jest to bowiem rzecz gustu. Wielbiciel poezji (nawet najsubjektywniejszej), spełniającej misję społeczną lub etyczną, nie wskrzesi w swej duszy zachwytu dla poezji mistycznej, „estetyzującej“. Nie przeszkadza to jednak, ażeby wydawszy najniepochlebniejszy nawet sąd o dziele sztuki ze stanowiska społecznego lub etycznego, nie ocenić ge godnie z tego stanowiska, na jakiem stanął autor. Nie pytamy o chleb, skoro nam niosą kwiaty: przyjmujemy je, byle w sobie nie mieściły trucizny. Estetyczna ocena „Srebrnych nocy“ będzie tem bardziej usprawiedliwioną, że autor, piękno jedynie mając na celu, sam siebie nie pasował na „rycerza św. Ducha“.

P. Szczepański w wierszu pt. „Szkic do obrazu współczesnego“ (str. 69—73), poświęconym cieniom Podkowińskiego — dla obeznanych z kierunkiem artystycznym autora „Szału“ jest już ta dedykacja wymowną — ze wzgardą prawie wyraża się o tych, którzy głoszą: „Myśli i sztuce nałożymy pęta, jeśli nie służą ku naszej zabawie“. Jego sympatje zostają po stronie tych „fanatyków“ rycerzy, piewców i pielgrzymów, którzy z dala od rynków, gdzie się tłum weseli, toną w zadumie“, podczas gdy „w mroku nad nimi jaśnieje bóstwo blaskiem śnieżnej bieli“. Potępiając t. zw. utylitarny kierunek sztuki, szuka on przedewszystkiem piękna i wszędzie radby je widzieć, bo: „Czem śmierć, czem życie, jeśli je piękno ozłoci blaskiem twórczego żaru!“ pyta on w wierszu p. t. „Wenus“ (str. 26—27) i wierzy, że nawet „nad śmiercią jaśnieje piękno“. Ta „confession de foi“ spokrewnia p. Szczepańskiego duchem z polskim wielbicielem Vrchlickiego, Z. Przesmyckim (Miriamem). W wierszu, specjalnie dla Miriama napisanym (str. 58), podziwia on pieśni jego, które „słów iskrzycą niezwykłych skrzą się, dumnie świecą bogactwem kształtów, barw doborem;“ podziwia też poetę, który pomimo, że „tłum pustym szumi rozhoworem“ zawsze „jasne nosi lico i łukiem gnie tryumfatorem nad mórz ciemności tajemnicą tęczę swych marzeń“. Zacytowane trzy wiersze, jakoteż myślą ostatniemu pokrewny wiersz p. t. „Z pracowni“ (str. 59), napisany dla p. Rauchingera, zdradzają dość wyraźnie upodobania i aspiracje artystyczne autora; resztą wierszy „srebrnych nocy“ dał on dowód, że potrafi być tem, czem chce.

Autocharakterystyką treści poezji p. Szczepańskiego jest w części wiersz wstępny p. t. „Nieznajomej dalekiej“ (str. 3—4), gdzie autor wiersze swe zwie kwiatem „nikłym, uszczkniętym w urocznym boru, na polanie rośnej“, kwiatem „zdjętym z łona królewny zaklętej, napół uwiędłym w pieszczocie miłośnej“ lub „więzią promieni bladą“ i „pękiem blasków, zwitych z księżycowej zorzy“. Wierniejszą jeszcze autocharakterystyką jest piękny wiersz p. t. „Piosenka moja“ (str. 68). Senne i blade dziecię miasta, w dzień piosenka ta, spokoju łaknąc, za siódmą górą, za siódmą rzeką z tajemniczego pić pragnie zdroju, błąka się cicha w czarów krainie. Lecz gdy zmierzch nocy miasto powleka, gdy tłum wezbraną falą się czerni, wpół ironiczna, wpół rozmarzona piosenka owa idzie powoli. Tak mówi poeta i słusznie mówi, bo poezje jego rzadziej może ironiczne, częściej rozmarzone, dalekie są od rzeczywistości. Słowa Krasińskiego: Rzeczywistość się pomału w sen zamienia, postawione jako motto na czele zbiorku, stwierdzają tylko fakt, że rozmarzenie stanowi główną jego cechę.

Tęsknica i marzenia na samotności stały się nieodstępnymi towarzyszami rycerza młodego, który nie usłuchał przestróg trzech nimf; ostrzegały go one, ażeby nie pił wody zaklętej, bo będzie tęsknił, będzie samotny, będzie dręczony złudami wiecznemi („Fontanna czarodziejska“ str. 55—56). Samotności szuka też poeta w ciszy srebrnych nocy, na drogach bezludnych, na ulicach miasta głuchych i milczących, nad głębią, nad morzem. Samotność bu-

dzi marzenia, te zaś niosą ukojenie, którego nie może znaleźć tęskniący poeta w rzeczywistości, skoro sam przedmiot tęsknicy, kochanka, jest wyśnionem marzeniem. Kochanka ta ma czar i urok miesięcznej nocy chłodnej, ona jest jak ta noc tajemna, srebrnobiała. Pochwycić ją i zniknąć w rozsrebrzonych cieniach nocy — oto życzenie marzyciela. Z nią razem zwiedzałby krainy czarów i marzeń; dla niej, gdyby był królem, porzuciłby złotą koronę. Pieśniom o podobnych motywach główną dekoracją służy przyroda srebrnych nocy; często jednakże sama przyroda nastręcza mu podobne motywy i wówczas jest ona tak samo, jak poeta tęskna i rozmarzona, a czar jej jest czarem przyrody, widzianej chyba przez sen. Księżyc na niebie już nie jest księżycem, ale cudną różą białą na aksamitu czarnych zwojach; on marzy, mrze i więdnie w ekstazie słodkich mąk i zamiast blasków, roni liście śnieżne („Rosa mystica" str. 7 8). Również personifikowaną i rozmarzoną przyrodę maluje poeta w wierszach, p. t. „Róże" (str. 24) i „Ogród czarodziejski" (str. 28). Całe otoczenie poety pomaga mu — sit venia verbo — marzyć i szukać ukojenia. Lecz czy znachodzi on je? Chwilowe; bo czasem na tęsknicę nic już pomódz nie może. Wówczas zostaje chyba „wśród oceanu czarnej kawy, płynąć do wyspy ukojénia" („Żegluga" str. 63). Za oryginalne to może, ale w każdym razie charakterystyczne. Nie będę streszczał wszystkich wierszy, te, które streściłem, mogą już dać pojęcie o fizjognomji poetyckiej autora, dla którego przy tem wszystkiem nastrój jest rzeczą ważniejszą od treści. Ten nastrój mistyczno-marzycielski, przypominający mi wiersze Verlaina, stanowi też najpiękniejszą zaletę „Srebrnych nocy". Budzi go autor w wielkiej mierze nie tylko artystycznym ukształtowaniem treści, ale i umiejętnym doborem wytwornych i kunsztownych form wiersza. Czasem jednakże kunszt zanadto rzuca się w oczy czytelnika. To jedynie może być przyczyną, że takie wiersze o mniej skomplikowanych formach, jak „O zmroku" (str. 12), „Wino" (str. 36), „Dziewczyna" (str. 42), „Piosenka moja (str. 68) podobają się bardziej prostotą swoją, niż inne.

Wiersz epilogowy p. t. „Lete" str. 77—78) intryguje mię. W nim pragnie poeta swą duszę znękaną skąpać w rzece zapomnienia „w zdroju czarodziejskim, w życiodajnych strug topieli"! Każe jej wstać o świcie, zmyć z siebie skruszonych więzów znamię, wyjść z tej kąpieli z mocą świeża, tchem szerokim odetchnąć i iść w świata dal bez końca „twardą ziemską drogą"! Miałażby ta zapowiedź zejścia z górnych sfer marzeń i tęsknic nieokreślonych na twardą ziemską drogę, być zapowiedzią nowego kierunku twórczości p. Szczepańskiego, *złotego świtu* po nocach srebrnych? Jeśli tak, to wobec niezaprzeczonego talentu poetyckiego autora „srebrnych nocy" wypadałoby tylko życzyć sobie, ażeby ten świt nie dał na się czekać zbyt długo. Zapowiedzianym przyszłym zbiorkom poezji: „Hymnom" i „Miastu" doda on z pewnością sporo oryginalnego kolorytu i życia.

Dr. W. Szczurat.

Błędy językowe.

29. Nie mówmy i nie piszmy *rodzenki*, *bióro*, *bót*, *obówie*. *Rozynki* nie mają nic wspólnego z *rodzeniem*, *biuro* z *piórem*; *but* wzięliśmy wprawdzie z zachodniej osnowy *bot*, aleśmy od wieków przemienili o na u, jak w *furta*, *kluba*, *kufer* itp. (z niemieckiego Pforte, Kloben, Koffer); *obuwie* zaś nie ma nic wspólnego z butem, gdyż pochodzi od *obuć* (ob-uć).

30. W jednem z pism czytam, że we Lwowie założono »przymusowy dom pracy«, a na jednym z szyldów w Warszawie stoi: »Lecznica dla chorych umysłowych i nerwowych«. To tak, jak gdyby ktoś powiedział: Oszczędny gmach kasy, albo Pensja panien przychodząca i miejscowa.

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 19. Motylkowate — Nogietek ogrodowy.

Korzon Tadeusz. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1774—1794). Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego. Wydanie drugie. Tom II. Kraków-Warszawa, 1897. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp.

Studnicki Władysław. Współczesna Syberja. Z mapą Syberji i kolei syberyjskiej. Kraków. Gebethner i Sp. 1897. str. 161 i 2 nieliczbowane.

Szujski Władysław Dr. c. k. urzędnik Skarbu Przepisy nowej ustawy o podatkach osobistych z dnia 25. Października 1896, l. 220 Dz. p. p opracował... Kraków. Nakładem księgarni L. Zwolińskiego i Spółki 1897. Str. 115.

Z drukarni Z. Goloba we Lwowie